ROZMAITOŚCI.

Dnia 3 stycznia, Nr. 1. roku 1846.

GŁOS STAREGO SZLACHCICA
W DZIEŃ NOWEGO ROKU 1846.

Witam cię, witam nasz królu i panie,
I czoło schylam przed twym majestatem,
Ale mi tandem pozwól zapytanie,
W moc jakich ustaw będziesz rządził światem?
Już w twoje świetne z nieba dokumenta,
Najstarsi nie chcą wierzyć gospodarze,
Musisz im przysiądz na *Pacta Conventa*,
Że łgać nie będą twoje kalendarze.
Twój ojciec tandem król świętej pamięci,
Niech cię to proszę jak syna nie boli,
Być w naszą sprawę nie miał dobréj chęci,
Nawet się wielkiéj dopuścił swawoli;
Nie dość mu było, nie poprzestał na tém,
Że nas tumanił i zimą i latem,
I czy przez dąsy czy z gniewu uniesień,
Nie dał nam wiosny, zmarnotrawił jesień;
Nie dość mu było, iż rzek wzdęte wały
Niosły na łany z twardych gór jelita,
Że tam sandacze mospanie pływały,
Gdzie snop wiązała ręka pracowita;
Ale nam jeszcze jak to dzieciom niańki
By je zagapić, puszczał z mydła bańki,
Ni zwierciadełkiem do słoneczka migał,
A skrycie mulił i ostro podstrzygał,
I tak nas odrwił przez złudne wertepy,
Że po stodołach smutno milczą cepy!
Nawet mospanie w bulby już wybrane,
W to życie chłopka, utkwił taką ranę,
Że ją wyleczyć już nadzieja prożna!....
Otóż mospanie siedząc w rządów biurze,
Pisząc dekreta w pozór ręką czułą,
Narobił żydów w rolniczéj skrypturze,
Których ni nożem wyskrobać nie można,
Ani mospanie wywabić bibułą! —
Cóż z nami będzie, cóż się z nami stanie,
Gdy w ślady ojca pójdziesz sam mospanie?
Lub jeźli prawda — Imię Ojca Syna —
Ot już na wzmiankę jeży się czupryna!
Jeżeli prawda — to rzecz niesłychana,
Że nam zaprzężesz rumaki szatana,
Co nigdy owsa nie jadły ni siana,
A wichrem pędząc jak z piekieł warjaty,
Mają nas nosić aż tam gdzieś za światy!?
Prawdażto, powiedz, bo trudna do wiary,
Że masz, jak mówią, jakoweś tam czary—
Że tylko gwiźdniesz, — daj się Bogu szczérze!
Juześmy w Chinach albo na Sibirze.
Tośbyś mospanie gorszym był od żmii,
Więcej miał złości niżli sami czarci;
Bierz sobie innych na złamanie szyi,
Nie mało takich co są tego warci.
Wreszcie rządź sobie w miarę twéj potęgi,
Wolno dysponuj wyrokami swemi,
Ale mnie zostaw w ojców moich ziemi,
Mając chléb w domu, na cóż mi włoczęgi?

NIEBOSZCZKA,
CZYLI
MĄŻ I KOCHANEK.

W roku 1761, przed rewolucyją, gdy się jeszcze umiano szczérze bawić i trzpiotać, wrócił młody margrabia de Locmaria z akademii do swego rodzinnego miasta Rennes. Byłto ładny, miły chłopiec, jak rzadko. Nikt przyjemniéj od niego nie opowiadał, nikt układniéj nie tańczył, nikt się piękniéj nie stroił. Przytém wyglądał on niewinnie i skromnie jak panieneczka, a miał 60.000 liwrów rocznego dochodu.

Książę de Chaulnes, ówczesny gubernator Bretanii, wyprawił sutą wieczerzę z tańcami, na którą całą prawie bretańską szlachtę sprosił. Wszystkich jednak przyćmił piękny Locmaria. Najzawołańsi eleganci spozierali nań z zazdrością, najdumniejsze damy przypatrywały mu się z

zachwyceniem; nad wszystkie zaś podziwiała go hrabina Dyjana de Tonquedec. Również i jéj małżonek oddawał mu sprawiedliwość — a byłto stary, wysłużony admirał, którego zawód wojskowy jeszcze czasów XIVgo Ludwika sięgał, a który od lat kilku do portu spokoju i wypoczynku zawinął, to jest opuścił służbę, osiadł w Rennes i ożenił się z młodą, piękną lecz ubogą Bretanką. Hrabia de Tonquedec mniemał posiadać serce swojéj małżonki, ale jéj niedowierzał. Skojarzenie jasnych loków z siwémi włosy jest zawsze niebezpieczne, i może co chwila się rozerwać. Chociaż zresztą, nie miał nasz stary małżonek zwykłych słabości swojego wieku, będąc owszem żwawym, wesołym, a nawet nieco trzpiotowatym. Ztąd mawiał on sam o sobie, iż jest właśnie w sile wieku, a ktoby go był widział, jak on lekko i zgrabnie chodził, jak zręcznie się umiał zginać, jak zalotnie damom się wdzięczył, mógłby mu był uwierzyć. Uwiódłszy wiele kobiét za młodu, ubrawszy mnogich małżonków w rogi, miał istotnie prawo sądzić się dość dokładnym znawcą płci żeńskiéj, aby swoją własną żonę umiał ustrzedz. Różnicę zachodzącą między jéj dwoma a jego przeszło już sześcią krzyżykami, starał on się tém wynagrodzić, iż był nadzwyczajnie ugrzecznionym, wspaniałomyślnym, i wszechwładną, nieograniczoną panią w domu jéj być dozwalał. Z początku było ich małżeństwo bardzo szczęśliwe. Młoda, żywa, pusta małżonka zgadzała się wybornie z mężem, który się fértał jak student, a posiadał galanteryję rycerza średnich wieków; mieszkała ona w jednym z najpiękniejszych pałaców w głównéj dzielnicy miasta, i miała pod swojém dowództwem cały eskadron pokojowek i lokajów; sam nawet kamerdyner hrabiego musiał ją słuchać. Nagle jednak zmieniła się postać rzeczy. Hrabina zposępniała, straciła wszelką żywość, oddaliła swoje garderobiany, a doświadczony małżonek postrzegł, iż w serduszku Dyjany coś się święcić zaczyna. Zapewne życzy sobie nowego ekwipażu, lub widziała może na balu piękniejsze brylanty od swoich, i to ją gryzie. Bo przypuszczać, iż jakaś namiętność w jéj sercu się rozwija, nie widział żadnéj przyczyny; aby zaś młody Locmaria z osołowieniem hrabiny jakąkolwiek miał styczność— ani mu przez myśl nie przeszło. Młodzik, który w oczach hrabiego urodził się i podrósł, i tylkoco ze szkół wrócił, i nie miał nic za sobą, jak chyba że był układną lalką i ładnie tańczył—mógł w najpomyślniejszym razie oczy żywéj kobiéty na siebie ściągnąć, lecz aby serce jéj wzruszyć, potrzeba było coś więcéj niż jego dwudziestoletniego rumieńca i jego niewinnéj minki. Nie chcąc jednak samąż hrabinę o powód jéj smutku pytać, udał się pan Tonquedec do jéj ulubionéj pokojowéj, która mu niezawodnie tę zagadkę rozwiązać mogła.

»Cóż to twojéj pani jest, Zuziu?« zapytał hrabia z umizgiem.

»Nic wiém, panie hrabio. Oddawna już nic pani hrabina z nami nie mówi, i siedzi wciąż samotnie.«

»Ale ciebie nic zwiedzie; masz ty bystre oczko, Zuziu, i wiesz bez twojéj pani, czego ona sama ci nie powié; a ponieważ ci nic nie powiedziała, więc tém śmieléj możesz to mnie powierzyć. —« Zarazem wetknął hrabia sakiewkę Zuzi w rękę, a grzeczna garderobiona rzekła zakłopotanym głosem:

»To wszystko ztąd pochodzi, iż pani hrabina ma kochanka.«

Każdy inny małżonek na miejscu hrabiego byłby się zmienił na twarzy i cofnął przerażony, lecz nasz stary doświadczyński uśmiéchnął się żartobliwie i ozwał się daléj do pokojowéj:

»Jakto, i nic więcéj jak tylko to? I dla takiéj fraszki twoja pani się smuci? a ty kochana Zuziu, któraś już zapewne nie jednego kochanka miała, nie starasz się pocieszyć w tém swojéj pani? Ale i zkądże ty wiesz o tém, jeźli ci pani tego nie powiedziała?«

»Bo, widzi pan hrabia, oto codziennie skrada się pewien młody panicz około domu.«

»I tyż znasz tego panicza?«

»Jestto margrabia de Locmaria.«

»Ejże! Ten maleńki Locmaria?»

»Ten sam. A przytém i listy pisuje.»

»I częstoż?»

»Prawie codziennie.»

»A hrabina, czy odpowiada?»

»Ile mi jest wiadomo — nie.»

»I od kiedyżto trwa ta znajomość?»

»Od ostatniego balu u księcia gubernatora.»

Hrabia kiwał mocno głową w zdumieniu. Najbardziéj zdziwiła go osoba jego rywala. Przez pewną zawiłość wyobrażeń, która sama w sobie jest dziwną, a przecież wszystkich starych ludzi cechuje, nie wydawał się młody margrabia wcale hrabiemu niebezpiecznym, widział on go zawsze jeszcze w pieluszkach, i nie mógł pojąć, co zresztą dość naturalném było. Ale ponieważ Zuzia najświęciéj o całéj rzeczy go zapewniała, tedy chcąc nie chcąc musiał uwierzyć, i podobnie jak ów Arnolf w »Szkole kobiet» rzekł sam do siebie: »No, czy byłżebym się kiedy spodziéwał, widząc go takim pędrakiem, że on w podobnego psotnika urośnie!»

Bądź jakbądź, należało śpiesznie złemu zaradzić. Nie było wprawdzie nic łatwiejszego, jak podchwycić liścik Locmarii lub zejść niespodzianie hrabinę, i sprowadzić traiczną scenę, pojedynek, morderstwo, lub wyjechać coprędzéj z Rennes, zamknąć się z żoną w jakimś odległym zamku, strzedz jéj tam dzień i noc, albo wcale pójść za przykładem owego srogiego tyrana, który swojéj niewiernéj żonie serce zabitego kochanka na półmisku zastawił — lecz to wszystko nie zgadzało się z charakterem starego admirała, który z swoją żoną chciał żyć szczęśliwie, spokojnie i bez trosków.

Owoż posępny smutek hrabiny, z którego każdy inny małżonek na głęboką byłby wnosił namiętność, pocieszał właśnie hrabiego. Bo żona, która jeszcze tak dalece maskować się nie umié, iż się sama nie tylko przed swoim mężem, ale nawet przed służącémi zdradza, godna jest porady, nie zaś kary. To sobie rozważywszy, postanowił hrabia udać się wprost do Dyjany. Mając jednak dość władzy nad sobą samym, aby żadnego środka do przypodobania się swéj żonie nie opuścić, ustroił się wprzódy starannie jak w dzień ślubu, i ufryzowany, wygładzony, upudrowany, w czarnéj aksamitnéj sukni, z należycie ułożonémi żabotami, w trzewikach i w pończochach, wybrał się w drogę do salonu hrabiny. Nie zastał nikogo na pokojach, i sypialnia téż była próżna, a zatém wstąpił do gabinetu, gdzie Dyjana zwykle sama bawiła, gdy do Boga myśli zwrócić chciała. Unikając jednak wszelkiego pozoru niedyskrecyi, zapukał ostrożnie do drzwi, i nie wszedł wprzódy, aż póki hrabina słabym głosem nie ozwała się: »Proszę.»

Hrabia Tonquedec wstąpił zlekka do nieco przyćmionego pokoju, a skoro jego cokolwiek słabe oczy z tym półmrokiem się oswoiły, ujrzał on hrabinę siedzącą smutnie w dużém, gotyckiém krześle, z świéżo, jak się zdawało, otworzonym listem w ręku. Tuż koło niéj, na mniéjszém, składaném krześle, leżała aksamitna torbeczka, o złocisto wyszytym herbie Tonquedeków, zawiérająca resztę listów Locmarii. Cały pokój był w widocznym nieładzie, a toaleta hrabiny odpowiadała zupełnie zaniedbaniu, jakie w około niéj panowało; włosy jéj były niezaczesane, suknia jéj nigdzie należycie nie spięta, a dodawszy do tego blade lica hrabiny i jéj mdłe, zapadłe oczy, można sobie łatwo wystawić, iż zaiste było na czasie dla męża, aby przyspieszyć w pomoc, i zniweczyć skutki, które jeden nieszczęsny wieczór z tańcami sprawił. Gdy hrabina męża swego ujrzała, nie przyszło jéj nawet na myśl, aby ów trzymany w ręku list ukryć, lecz upuściła go owszem tak nieostrożnie na ziemię, iż hrabia sam go podniósł, i ani okiem nań nie spojrzawszy, nazad go żonie oddał.

»Spodziéwam się, iż moje odwidziny w niczém pani nieprzeszkadzają?» rzekł hrabia z ugrzecznieniem.

»W niczém bynajmniéj—» odpowiedziała hrabina z spuszczonémi oczyma.

»Gdyż lękałem się w istocie» mówił małżonek daléj— »abym się pani natrętnym nie stał, przerywając jéj samotność.

Wielki też to musi być twój smutek pani, jeźli tak młoda, piękna, uwielbiana, jak pani jesteś, możesz się tak pustelniczo usuwać od wszystkiego, co ci niegdyś przyjemném było. Lecz czując tak bolesny smutek, dla czegoż nie szukasz pani pociechy u mnie, u jéj najszczérszego przyjaciela, który nigdy zaufania twojego niegodnym się nie okazał?» To mówiąc wziął hrabia aksamitną torbeczkę z krzesła, złożył ją u stóp hrabiny, usiadł sam na krześle i ujął rękę swéj żony. Chociaż list Locmarii tuż przed nim na ziemi leżał, i chociaż tylko okiem nań rzucić potrzebował, aby wymierzone do Dyjany zaklęcia miłosne mógł odczytać, uczuł przecież z radością, iż puls jego żony bił równo i spokojnie, jak puls uspionego dziécięcia.

»Nie powiészże mi pani, co iest przyczyną jéj smutku?» zapytał czule.

»Czytaj pan!» rzekła hrabina, wskazując na leżący na ziemi list Locmarii, a oraz odemknęła aksamitną torbeczkę i wysypała z niéj z półkopy listów, które wszystkie mężowi doręczyła. Ten wziął je do rąk spokojnie, ułożył je w chronologicznym porządku i zaczął czytać. Młody margrabia umiał w istocie lepiéj tańczyć, niż pisać; ztémwszystkiém znalazł stary Tonquedec w tych listach, co w nich rzeczywiście się znajdowało, to jest, gwałtowną namiętność, wyrażającą się z całym ogniem pierwszéj młodocianéj miłości. Locmaria prawił: iż uwielbia hrabinę, iż nie może żyć bez niéj, iż jéj widok jest mu niezbędnie potrzebnym do życia, jak powietrze. Daléj namawiał hrabinę, ażeby z nim uciekła, do Holandyi, do Anglii, gdziekolwiek będą mogli znaleźć cichy zakątek, w którymby ich miłość od więzów świata wolną była. Jeźli zaś hrabina nie odpowie wzajemnością na jego miłość, natenczas umrze on z boleści, lub sam swoje męki ukróci, i przebije się szpadą w jéj obecności, pod jéj oknyma, lub na jéj własnym salonie, w pośrodku towarzystwa...

Wszystkie listy były podobnéj treści; wszystkie zawiérały też same zapewnienia miłości, też same namowy do ucieczki, też same pogróżki zadania sobie śmierci. Hrabia postrzegł z radością, iż ma z niewprawnym jeszcze, niezręcznym rywalem do czynienia, i schował listy znowuż spokojnie do torbeczki.

»Jestto rzeczywiście wielkie nieszczęście dla margrabiego—» rzekł do żony. »Słabość jego zdaje się być trudną do wyleczenia; leczpani, Dyjano, dla czegoż pani masz cierpiéć za jego nieroztropność?»

»Ach mój mężu!» zawołała hrabina z boleścią— »Cóżby się ze mną stało, gdyby on z miłości do mnie umarł, lub uchowaj Boże, szpadą w moich oczach się przebił!»

»I sądziszże pani, iżby on był w stanie to uczynić?»

»A panże wątpisz o tém? Przeczytaj więc jeszcze raz jego listy.»

Hrabia Tonquedec spojrzał uważnie na swoję żonę. Byłażto istotna niewinność, lub tylko tak wyrafinowana kokieteryja? Bretanija pozostawała wówczas co do oświaty daleko za resztą prowincyj francuzkich, a hrabina, nie wiele lepiéj od innych swoich spółrodaczek wychowana, nie odpowiedziała dotąd margrabiemu na jego listy, ponieważ pisanie z trudnością jéj przychodziło.

»Więc pani wierzysz temu—» powtórzył hrabia— »iż Locmaria mógłby sobie z miłości do pani życie odebrać?»

»Ach, mój Boże, zapewne!» odrzekła hrabina trwożnie. »I muszę panu wyznać, iż nie mogę o tém pomyśléć bez drzenia. Margrabia Locmaria, tak młody, ukształcony, majętny młodzieniec, trupem!— tu w moich oczach trupem! — i trupem dla mnie!— Ach! już go widzę! — tu u stóp moich we krwi! — z széroko rozdartą raną! — i to w obec wszystkich moich ludzi, w salonie! Ach Boże! wolałabym raczéj przystać na wszystkie jego żądania, niż dożyć tego widoku!»

»Oho!» ozwał się hrabia kwaśno, powstając— »przystać na wszystkie jego żądania? A wiesz pani, coś pani tu powiedziała? To znaczy, wolałabyś z nim wyjechać, dokądby zechciał—?»

»Zapewne żebym wolała—» odrzekła hrabina nieśmiało— »gdybym się nie lękała pana przez to obrazić.»

»Aha, rozumiem; a ponieważ pani się tego lękasz, więc zamykasz się w swoim pokoju i ukrywasz przede mną powód swojego smutku?» —

Biédna hrabina Dyjana de Tonquedec nie znała wcale, jak widać, jasnéj strony małżeństwa. Poszła za mąż, ponieważ wszystkie młode dziéwczęta za mąż idą, lecz stary admirał nie zdołał wzbudzić w niéj owych uczuć, któremi ją widok pięknego, młodego Locmarii natchnął, a które pana małżonka o niemałe przyprawiły niebezpieczeństwo. Co Dyjana przed chwilą z tak zajmującą naiwnością wyrzekła, nie pochlébiało bynajmniéj miłości własnej hrabiego, lecz napawało go owszem żywą obawą na przyszłość. Mimo to jednak uznał za rzecz stosowną, odłożyć na później napomnienia, które, jak mu się zdało, bardzo były potrzebne jego żonie, a tymczasem udał, iż czuje prawdziwy udział w losie nieszczęsnego kochanka, i że istotnie o jego życie się troska.

»Jedyną moją pociechą—» rzekł do hrabiny— »jest myśl, iż pani sobie nieszczęście Locmarii daleko większém wystawiasz, niż ono jest rzeczywiście, i że on go sobie wcale tak mocno do serca nie bierze, jak pani mniemasz.»

»Ach, nie czytałeś pan jego listów z należytą uwagą—» odpowiedziała hrabina z przekonaniem.— »Ale pominąwszy to nawet, tedy widzę go prawie w każdéj chwili, nie mogę kroku zrobić, aby się z nim nie zdybać, nawet w nocy bawi pod mojémi oknyma, mimowolnie słyszę jego kroki, westchnienia, i wiém pewnie, że i teraz—»

Hrabia przystąpił do okna, uchylił zasłony i postrzegł w istocie margrabiego Locmarię, jak tam i nazad przed domem się przechadzał, i strzeliste spojrzenia ku oknom rzucał. »Masz pani słuszność, hrabino—» rzekł małżonek — »Locmaria jest na dole.»

»Ach mój Boże!» zawołała żywo hrabina — »gdybym ja też przyczyną jego śmierci być miała! Och, lepiéjby, lepiéj dla nas było, gdybyśmy się nigdy byli nie widzieli na świecie!»

»A czy ma szpadę z sobą? —» spytała z wcale podejrzaną niespokojnością.

»Prawy szlachcic nigdy się z nią nie rozłącza.»

»A nie robiż miny, jakby ją z pochwy chciał dobyć?»

Nie, Dyjano, i sądzę że na dziś możesz pani zupełnie być spokojną. Lecz czas już, aby się to skończyło.»

»Ach tak jest — czas już!»

»Będę mówił z Locmarią.»

»Pan? Ach strzeż się, abyś jeszcze nie pogorszył wszystkiego.»

»Nie lękaj się pani o to.»

»Czyżby nie lepiéj było, gdybym ja sama z nim mówiła? Możeby mi się prędzéj powiodło, odprowadzić go od jego okropnego zamysłu.»

»Nie, moje dziecię —» odrzekł hrabia łagodnie— »byłabyś zanadtą wzruszoną, aby mu dać rozsądne napomnienia. Przytém mogłoby takie zejście stać się wam obojgu niebezpiecznem, a cóżbym ja wtedy począł, gdybyś doprawdy innego nie znalazła sposobu, uleczyć Locmarię z jego rozpaczy, jak wybierając się z nim razem w podróż—?»

»Ach, pan—» odpowiedziała hrabina z naiwnym, obojętnym uśmiéchem — »pan byś pewnie z tego nie umarł.»

»Ktoż wie?» zarzucił hrabia— »Ale jakkolwiek bądź, pozostaw mnie samemu tę całą sprawę do załatwienia, a przyrzekam ci, iż sobie jak najostrożniéj postąpię, i życia Locmarii na niebezpieczeństwo nie narażę,»

Po tych słowach ucałował hrabinę w rękę z ugrzecznieniem i wyszedł. Będąc znowuż sam na sam, zaczął głęboko rozmyślać, co tu począć. Wszelkie uczucia hrabiny dla Locmaryi ograniczały się dotąd jedynie na obawie i litości. O jéj niewinności nie mógł bynajmniéj wątpić, gdyż w razie gdyby istotnie była winną, okazałaby się mniéj szczérą. Owczesne obyczaje szlacheckie nastręczały mu jako najprościejszy sposób ukończenia téj sprawy — pojedynek, lecz to nieprzypadało mu wcale do smaku. Bo gdyby on zwyciężył, tedy mówionoby powszechnie, iż stary, biegły w tych rzeczach Tonquedec,

pozbył się niegodnym siebie sposobem młodego niedoświadczonego chłopca, a gdyby się przeciwnie stało, tedy całe pośmiewisko spadłoby na hrabiego. Przytem mógłby także stracić w pojedynku nos albo oko, a to nie dodałoby mu pewnie więcej wdzięku w oczach młodej małżonki. Locmaria zaś wyszedłby na każdy wypadek korzystnie z pojedynku. Nawet gdyby trupem na miejscu poległ, żałowałoby go całe miasto, a hrabina Tonquedec zachowałaby mu pewnie wieczną w sercu pamiątkę; co zaś do rany, taby go jeszcze bardziej zajmującym w jéj oczach uczyniła. Ta sama bowiem rana, która oszpeca starego, zdobi młodzieńca. Postanowił więc hrabia udać się osobiście do swojego rywala, powiedzieć mu, iż wie o wszystkiem i napomnieć go, aby zaprzestał dalszych zabiegów, gdyż te nie mogą mieć innych skutków, jak tylko że spokój krabiny podkopią.

W niższéj części miasta, przedzielonéj kilką ciasnémi ulicami od pałacu hrabiego, tuż obok katedry stał hotel Blossac, zamieszkany naówczas przez księcia Chaulnes, gubernatora prowincyi, a o kilka kroków było mieszkanie Locmarii. Po wyjściu od żony przeglądnał Tonquedec naprzód miejsce przed domem, a nie postrzegłszy już tam zakochanego młodziana, udał się wprost ku jego pomieszkaniu. Minął jednę i drugą ulicę, gdy naraz jakaś młoda i dość przystojna kobiéta z przyległéj kamienicy z płaczem na ulicę wybiegła, i błagając jego pomocy, w drogę mu się rzuciła. Tuż za nią wyleciał jakiś stary człowiek o siwych włosach, podług wszelkiego podobieństwa szewc, który niemiłosiernie pocięglem ją okładał. Hrabia zastąpił mu drogę, i odepchnął go od nieszczęśliwéj ofiary, mówiąc: „Stój, przyjacielu! Cóż ci to twoja córka zrobiła, że ją tak srodze katujesz?"

„Moja córka!" krzyknął rozgniewany starzec — „To nie moja córka, to moja żona, panie! A zrobiła mi to, czego panu nie życzę, aby mu jego żona zrobiła! Ale w sam czas przyszedłem i wypłacę im się za swoje! Ją będę bił, co mi tchu stanie, a on z mojéj ręki zginąć musi!"

Hrabia starał się wszelkiemi sposobami zagodzić zwaśnione stadło, napominając żonę do poprawy a męża do umiarkowania, a gdy mu się poniekąd powiodło przywrócić na chwilę spokój, udał się w dalszą drogę, którą także w podobnem co i ów szewc położeniu przedsiębrał. Mimowolnie więc rozmyślał po drodze nad tém wspólném nieszczęściem, i uznał, iż szewc najnierozsądniejszego środka do osiągnienia swego celu się chwycił. Bo żona, którą mąż raz wybił, nie może go już więcéj kochać, a trupem położony kochanek nie przeszkodzi bynajmniéj, aby inni po nim w jego ślady nie wstąpili. Dla tego należy lepszego środka szukać, a najlepszym ze wszystkich jest, przekonać żonę, iż to co ona miłością swego kochanka sądzi, nie jest wcale miłością, lecz tylko pożądaniem — i tego też chciał nasz rozsądny małżonek dokazać.

Przybywszy do mieszkania Locmarii, zastał go hrabia jeszcze w tem samém przebraniu, w którém się na ulicy przed jego domem zakrywał, siedzącego czyli raczéj leżącego w szérokiém poręczowém krześle, z posępnie ku ziemi schyloną głową, okrytą czarnym aksamitnym baretem o długich zwisających piórach. Na widok małżonka Dyjany zdjął margrabia płaszcz i kapelusz, i postąpił z niejakiém nieśmiałem zdziwieniem ku swojemu gościowi. Hrabia Tonquedec widział go nie piérwszy raz w swojém życiu, znał go owszem od lat dziecinnych, lecz nigdy nie zwracał szczególnéj uwagi na jego postać, i dopiéro teraz uderzyła go istotnie rzadka piękność młodzieńca, który jakby w istocie tylko na to zdawał się być stworzonym, aby wszystkie młode małżonki starych mężów, jak się Dyjana wyrażała, raczéj do „spełnienia wszelkich jego żądań, niż do zezwolenia na jego śmierć„ nakłonić.

„Pan margrabia musiał zapewne oczekiwać mego przybycia" wszczął stary żeglarz rozmowę.

»Ja, panie hrabio—" odrzekł Locmaria z zająknieniem. „Nie wiém doprawdy—"

„O, i owszem, wiesz pan dobrze, iż hrabina Tonquedec jest cnotliwą, uległą swemu mężowi żoną. Mógłżeś pan myśléć, aby ona mnie o pańskich listach i jego nieprzystojnych zabiegach nie doniosła?"

»Więc mię zdradziła!» krzyknął młodzieniec z boleścią, zakrywając sobie twarz rękoma, z pod których rzewne łzy się stoczyły.

»Cóż to ma znaczyć?» zapytał hrabia z powagą— »Mówisz pan, iż go zdradziła? Nie — Ona tylko mnie nie zdradziła. Pan jesteś niczém dla niéj; nie możesz jéj być czemś więcéj. Zważ pan przecież, z kim mówisz."

Locmaria wyciągnął obie ręce ku hrabiemu i rzucił mu się z płaczem na szyję. Ten usunął się zlekka i rzekł z uśmiéchem: „Dziwna to scena, na honor! Kochanek mężatki rzuca się w objęcia małżonka i wyznaje mu miłość do jego żony. Toż się pan przecież opamiętaj, i zastanów nad tem, kogo tu widzisz przed sobą. Pańska namiętność, która ci zmysły odbiéra, a którą bez wahania się mi wyznajesz, jest niegodziwą, bo chcesz mi zarazem wydrzéć żonę i sławę."

»Tak jest, panie hrabio" ozwał się rozpaczający młodzian — „Kocham pańską żonę, i czuję jak pana ta miłość obrażać musi; lecz nie żądam ja przebaczenia od pana; chcę owszem zginąć, i zginąć z ręki pańskiéj; zadaj mi pan śmierć tu zaraz, bo moja namiętność zgaśnie tylko wraz z mojém życiem!"

„Jesteś w błędzie, margrabio! Nie śmierci ty sobie

życzysz, lecz posiadania mojéj żony. Zatrważasz ją listami, grozisz jéj samobójstwem w jéj oczach, a to wszystko tylko dla tego, aby moję żonę do ucieczki z sobą nakłonić; kto inny zażądałby z bronią w ręku surowego zadość uczynienia, lecz ja sądzę, że nieroztropności młodzieńczej nie należy karać jak zbrodnię.»

»O nie, panie hrabio» odrzekł Locmaria — »nadstawiam panu dobrowolnie pierś moję, i z rozkoszą krew za hrabinę przeleję!

»Jeżli to prawda, co pan mówisz —» mówił dalej Tonquedec— »tedy byłby pojedynek zabójstwem z mojéj strony, a zabójstwo nie jest moją rzeczą. Ale —» tu wziął małżonek za rękę kochanka swojéj żony i ozwał się przybranym głosem przyjaciela i ojca: »pamiętaj pan iż jesteś mężem; pokonaj tę namiętność, która cię ślepo owładła; wyrzeknij się domagań, których niepodobieństwo spełnienia śmiesznością cię okrywa. Hrabina pana nie kocha; jedyną rzeczą, któréj żąda po tobie, jest, abyś się w jéj oczach nie zamordował, a tego będzie każda kobiéta po każdym mężczyźnie żądała. Co do mnie, tedy muszę ci wręcz oświadczyć, iż nie wierzę twoim pogróżkom; przeciwnie mam cię za człowieka honoru, i jestem przekonany, iż młody margrabia de Locmaria w kilku dniach Rennes opuści, do Flandryi za królewską armiją pośpieszy, i tam honory i wawrzyny lub bohaterską śmierć znajdzie.»

Młodzieniec słuchał tych słów nieprzytomnie, jakby ich nie rozumiał. Hrabia uścisnął go w pożegnanie za rękę i rzekłszy: »Spuszczam się na pańskie przyrzeczenie —» wyszedł szybko z pokoju, nie czekając bynajmniéj odpowiedzi.

Stary Bretańczyk wiedział, iż Locmaria podanéj mu rozsądnéj rady nie usłucha, lecz owszem o nowych jakich niedorzecznościach myśléć będzie. Trzeba im więc było zapobiedz, a to zamierzył hrabia uczynić w taki sposób, któryby oraz był nauczką dla jego żony, aby na przyszłość nie tyle nad wzbudzonémi przez siebie namiętnosciami się rozczulała. Najprzód wstąpił do pałacu Blossac, w którego pobliżu właśnie co się znajdował, i zgłosił się z prośbą o audyjencyję u księcia Chaulnes. Rozmowa trwała dość długo, a gubernator nie chciał na życzenia hrabi przyzwolić, aż w końcu księżnę do rozstrzygnienia wezwano.

»Wystaw sobie pani -» ozwał się gubernator do księżny — »hrabia prosi mię o pozwolenie zabicia swojéj żony.»

Księżna pojęła zaraz, że w tem jakiś żart być musi, i odpowiedziała tylko lekkim uśmiechem; lecz książę mówił dalej — »Nie, hrabia żąda na prawdę. Potrzeba tu w istocie koniecznie jednéj ofiary; jeżli hrabina nie padnie, tedy nie ręczę za Locmarię.»

»Za Locmarię?» zawołała hrabina — »Za tego pięknego, zgrabnego Locmarię, który tak dobrze tańczy? Ach, byłabyto wieczna szkoda; liczyłam już na niego w moich projektach balowych na tę zimę.»

»I będziesz go miała wasza książęca mość—» przejął hrabia Tonquedec »Jestto więc rzecz ułożona, moja żona musi paść ofiarą.»

»Ha, niechże i tak będzie —» ozwał się książę — »lecz to sobie wypraszam, aby pogrzeb był suty.»

»Racz wasza książęca mość być przekonanym, iż spełnię jego życzenia—» rzekł hrabia i odszedł spiesznie do domu. Już noc była zapadła, i ulice były już puste, tylko gdzie niegdzie wracał jeszcze jaki samotny mieszczanin do domu, lub tu i owdzie lektyki w towarzystwie paziów z pochodniami przenoszone. Stary małżonek oglądnął się bacznie około mieszkania, czy wszystko już spoczywa, a potem wszedł pocichu do środka. Hrabina jeszcze nie spała, bądźto iż powrotu męża oczekiwała, bądź iż wnętrzny trwożny niepokój spoczynku jéj nie dozwalał. Hrabia zastał ją jeszcze siedzącą samotnie w sypialni.

»Dyjano!» ozwał się do niej gwałtownie — »Mówiłem z Locmarią; miałaś słuszność; ten szaleniec kocha cię tak namiętnie, iż to każdéj chwili twoją spokojność narazić może. Już go tedy nigdy więcéj nie ujrzysz — i musisz ginąć!»

»Ja — ginąć!» krzyknęła hrabina z przerażeniem.

»Tak jest—» odpowiedział hrabia spokojnie. »Ułożyłem to już z księciem-gubernatorem.»

Na to rzuciła się Dyjana do nóg mężowi, błagając go o życie, lecz ten podniósł ją z łagodnym uśmiéchem, uścisnął, wziął za rękę, i zaprowadził z sobą do swojego pokoju. Tam okrył ją starannie płaszczem, i wyszedł z nią tajemnémi schodami, a potém boczną fortką z pałacu na ulicę. Hrabina postępowała za nim z drzeniem, ledwie oddechając z przestrachu. Minęli w milczeniu przyległą, wązką uliczkę, gdzie w głębi, na rogu stał zaprzężony powóz podróżny. Hrabia otworzył drzwiczki i wsadził swoję żonę do jakiejś siedzącéj już wewnątrz osoby. Potém przychylił się jeszcze ku Dyjanie, rzekł zcicha: »Teraz zginęłaś już dla Bretanii—» zamknął drzwiczki, dał znak woźnicy, a ten zaciął konie i pognał cwałem przez miasto.

Gdy już za miastem byli, ujęła jakaś mała, damska ręka drzącą rękę Dyjany, i jakiś łagodny głos przemówił: »Więc ja to pani do grobu mam towarzyszyć? gdyż jedziemy prosto na tamten świat; przynajmniéj w odwidziny.»

Byłato księżna de Chaulnes. Dodała odwagi strapionéj młodéj mężatce, pocieszyła ją iż to wszystko tylko zręcznie ułożony wybieg, i wyznała jéj wreszcie, iż jadą do Paryża, gdzie pod przybranem nazwiskiem, tysięcznych, nie znanych sobie dotąd będzie mogła używać zabaw i przyjemności.

(Dokończenie nastąpi.)

Wiadomości literackie.

Ze Lwowa: *Tygodnika rolniczo-przemysłowego* T. W. Kochańskiego wyszedł nr. 52gi i zawiéra: 1) Jeszcze słowo o ziemniakach zarazą dotkniętych. (Nadesłane z Brzeżańskiego). 2) O wystawie płodów przemysłowości w Wiédniu; przez Józefa Żywickiego. (Ciąg dalszy.) 3) O karmieniu bydła zacieranémi ziemniakami. 4) O nowo wynalezionéj elektromagnetycznéj machinie pana Pulvermachera z Pragi czeskiéj. (Przysłał J. Żywicki). 5) Notatka o gospodarstwie dawnem w Polsce. 6) Piwnice z torfu. 7) Wyborna politura do przedmiotów tokarskich. 8) Wiadomości handlowe.

Wolter, którego Muza radziej ironiją i dowcipem do rozumu niż tkliwością do serca przemawiała, gardził tak dalece świętemi łzami uczucia, iż wierzył najmocniej w ich dowolne wzbudzenie w sobie i w drugich, a płacz za coś zupełnie zewnętrznego, fizycznego, i jedynie od woli ducha zawisłego uważał. Jednego razu był u Woltera w odwidzinach pewien Włoch, który wówczas całą Europę objeżdżał i wszystkich swoją deklamacyją zadziwiał. Osobliwie okazywał on się niezrównanym w wygłaszaniu Aryjosta. Wolter mówił niegdyś z lekceważeniem o tym poecie, lecz późniéj

uznał swoję niesprawiedliwość i odzywał się kilkokrotnie w wyrazach najgłębszéj czci dla niego. Chcąc się więc przypodobać Wolterowi, obrał Włoch jednę z najspanialszych pieśni Aryjosta za przedmiot swego popisu. Deklamował ją cały w ogniu, w natchnieniu, uniesiony do tego stopnia, iż śród wygłaszania strumieniem łez się zalawszy, zaledwie zaczętego ustępu mógł domówić. Całe towarzystwo było mocno wzruszone, a nawet pani Denis, pięknej, swawolnéj synowicy Woltera, zajaśniały łzy w oczach. Jakoż i sam Wolter zdawał się być rozrzewnionym, lecz podczas gdy deklamator pochwałę Aryjosta usłyszéć się spodziéwał, zawołał Wolter z radością: »Wybornie niezrównanieś pan płakał. Otoż widzicie, co ja zawsze powtarzam: Nie dość jest nadrabiać głosem, wyrazem i mimiką, potrzeba jeszcze płakać, i to szczeremi, rzewnemi łzami płakać!»— »Ależ ten pan mimowolnie płakał —» ozwały się damy— »płakał, ponieważ był w głębi duszy wzruszony.»— »Ach, bajki—» odrzekł Wolter— »byłby on to i bez tego potrafił. Ja sam ręczę paniom, iż będę jutro ten sam ustęp deklamował, i również zaleję się łzami.»— Wzięto go za słowo, a nazajutrz wieczorem zgromadziło się całe towarzystwo, aby widziéć jak Wolter płakać będzie. Zaczął on swoję deklamacyję zwolna, zcicha, potém coraz żywiéj, coraz nąmiętniéj, gwałtowniéj, oczy błyskały ogniem, twarz zajaśniała natchnieniem, głos drżał wyrazem najgłębszéj boleści, a wreszcie, w najwyższym traicznym momencie, zdawał się ten głos zamierać w jękach, westchnieniach, i łzy puściły mu się z oczu strumieniem — razem zemilkł — koło niego było także słychać tylko łkanie i płacz słuchaczy. — Wolter spoziérał przez chwilę z upodobaniem na ten tryjumf swéj sztuki, ale podczas kiedy jeszcze łzy po jego licach płynęły, zaigrał mu na ustach ów sardoniczny uśmiéch, który jego przyjaciół zawsze trwogą przejmował, ponieważ zwykle był zapowiednią jakiegoś sarkastycznego, długo piekącego ucinku. Potem ryknął śmiejąc się z całego gardła: »A cóż nie mówiłżem prawdy! Ludzie jak małpy! Gdy jeden płacze, już i drugi w płacz za nim; a moje łzy sztuczne, wywabiły wasze prawdziwe. Utwierdziliście mę w mojem zdaniu: Aktor musi sam płakać, aby innych do płaczu pobudził.»

Odkryte tajemnice ręki. Pewien angielski lekarz wynalazł nową umiejętność, która jest niejako drugą częścią znanéj nauki Galla. Twórca téj umiejętności, wyłożonéj w osobnem obszernem dziele, wychodzi z téj zasady, iż ręka to człowiek. Dla powzięcia jakiegokolwiek wyobrażenia o téj nowéj sztuce, dość będzie odczytać kilka następnych twierdzeń: Duża ręka jest oznaką pospolitego umysłu, palce średniéj długości, a kończące się graniasto, okazują usposobienie do umnictwa. Wielki palec, gdy jest cienki, znaczy u mężczyzn brak talentu, u kobiét zaś brak skromności; przeciwnie wielki palec gruby, znamionuje obfitość myśli i energiję z charakterem; u kogo ten palec przy grubości jest oraz pięknego kształtu, ten miewa zwykle żyłkę do poezyi. Duża ręka oznacza skłonność do dobrego życia, ręka z krótkiémi, pękatémi palcami, srogość, z długiemi, suchémi palcami, chytrość. Grube palce z dużemi stawami, są cechą roztropności. Ludzie którzy wielki palec wewnątrz wciągają, to jest pomiędzy palce w dłoń kładą, bywają zazwyczaj skąpi. Najszczęśliwszą jest ręka mała, drobna, u któréj piérwsze dwa członki są dłuższe od trzeciego; jestto ręka wielkich ludzi, którzy arcydzieła tworzyli, lub losami ludzkiemi kierowali.

Śmieszność berlińskich praw teatralnych. Przeciw zaprowadzonemu przez p. Küstnera regulaminowi teatru berlińskiego wyszło niedawno pisemko, które ten regulamin »podzwonném pogrzebowem dla sztuki dramatycznej i jéj zwolenników» nazywa, i jak najzawzięciéj go zbija. Czytamy tam, iż owe mrzonki ustawodawstwa teatralnego, są wcale nienaturalném, potworném zjawiskiem w dziedzinie dzisiejszego politycznego i społeczeńskiego życia, i że przeto żadnéj obowiązującéj mocy miéć nie mogą. Teatr — jak autor pomienionego pisemka mówi — nie jest placem egzecérki, i nie masz w świecie zakładu, gdzieby surowość i teroryzm mniej na miejscu były; gdyż nié ma naczelnika, któryby większego zaufania i prawdziwszéj miłości swoich podwładnych potrzebował, jak intendant każdego wielkiego teatru. Bo mimo wszelkiéj władzy, jest on od dobrych chęci aktorów i opinii publiczności zawisłym, i nie może przeto niczego do skutku doprowadzić, jeżeli artystów ma przeciw sobie. Na cóż więc zdadzą się owe niezliczone kary, których przy wszelkiém dzisiejszém wydoskonaleniu mnemotechniki, niktby na pamięć nauczyć się nie był w stanie? Dokąd tylko artysta nogą się ruszy, przy każdym kroku, w loży, na scenie, za kulisami, przy próbie, na sali koncertowéj, w garderobie, w powozie teatralnym, w orkiestrze, na ulicy, w towarzystwie, za bramą, nawet w swoim własnym domu, otaczają go ćmy kar, które z wyjątkiem kary cielesnéj i kary śmierci, wszystkie kategoryje kar ludzkich obejmują, a którymby nawet najsumienniejsze dopełnianie obowiązku ujść nie zdołało.

Figiel huzarski. Nadreńskie miasteczko Bekum ma sławę naszego Pacanowa. Mieszczanie Bekum'scy są bardzo dobrzy ludzie, ale pomni owéj ulubionej w naszym wieku przypowieści: »Są dziwy na ziemi i na niebie o których się naszym filozofom ani śniło»— wierzą radzi we wszystko, co tylko widzą i słyszą. Ztąd bywają nieboracy często na żart wystawieni, a „zadrwić sobie jak z mieszczan Bekumskich" jest powszechnem przysłowiem w tamtych stronach. Niedawno z takiego żartu o mało do rozruchu nie przyszło. Oddział garnizujących w sąsiedztwie huzarów przejeżdżał w powrocie z egzecérki przez poblizkie miasteczko Bekum. Ponieważ komenderujący oficer przodem był pojechał, przeto przyszło huzarom na myśl zadrwić sobie z poczciwych Bekumczyków. Trębacze przyłożyli trąby do ust, nie wydając jednak żadnego głosu, huzary posiadali przewrotnie na koniach, to jest plecami ku przodowi, a zamiast cugli ogony w ręku trzymając, i tak przeciągali w porządku przez całe miasto. Zacni Bekumczykowie uwierzyli w istocie, iż to jest jakiś nowy manewr, i przypatrywali się z podziwieniem temu osobliwszemu wymysłowi naszych czasów. Dopiéro po długiem dziwowisku poznali się biedacy na żarcie i nuż w największéj złości za huzarami, baby z miotłami i ożogami, mężczyzni z kowalskiemi miechami w ręku. Zaledwie przybraniem zwykłéj wojskowej postawy mogli huzary zagrożony sobie atak odwrócić. Aż w końcu wdanie się obwodowego landrata sprawę tę załatwiło, a późniéj sami mieszczanie, ochłonąwszy z piérwszego gniewu, u wojskowéj zwierzchności się wstawili, aby huzarów za ten figiel nie karać.

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.
Drukiem Piotra Pillera.